DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

POSIEW KRWI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Wacława Żmudzkiego

Kanał skręcił już na prawo, zaraz miał się zacząć labirynt wązkich rozgałęzień.

A niemniej ścigły torpedowiec japoński, który nadto miał do przebycia krótszą drogę, deptał już prawie po piętach, kule co moment wyrzucały na uciekających cały kłęby wody.

— Jeszcze minuta, dwie!

I naraz niespodziewana przeszkoda!

Tuż za samym skrętem, w zacisznem, ogrzanem przez słonko miejscu, na całej szerokości kanału kołysała się jak stado kaczek, niezliczona ilość maleńkich łódeczek.

Leciał z nich gwar, tryskały kaskady śmiechu, bryzgały dokoła perły przeczystej, rzucanej rękami wody.

Cała niewieścio-dziecięca część ludności gromadziła się tu widać z sąsiednich wysepek dla zażycia kąpieli, czy zabawy.

Reitzenstein zadrżał na całem ciele.

Jednocześnie Olkuski, który z kamery maszynowej wychynął właśnie na pokład, wyciągnął przed siebie ręce i krzyknął ze zgrozą:

— Jezus, Marya!

A z tyłu, ze ścigającego okrętu, słychać już było nawoływania głosów ludzkich.

Reitzenstein zamknął oczy.

I stało się coś straszliwego.

»Sokół« z całym niepowstrzymanym impetem werżnął się jak sztylet w miazgę rozigranego drobiazgu.

Rozległ się nieludzki wrzask, kilkanaście pływających łupin prysnęło na kawałki, woda zakipiała od pluskających w nią, jak kluchy, krągłych ciał dziecięcych, od borykających się z topielą setek nóg i rąk... Droga, kędy przemknął statek, zapstrzyła się nagle koliskami rdzawych plam, tu i i ówdzie z boku, jak bania, wydymała się przez chwilę na wodzie szeroka szata niewieścia...

»Sokół« leciał dalej po ciemnozielonej fali, ze stalowego jego dzióba sączyły się w wodę wąziutkie niteczki krwi.

Olkuskiemu zęby błyskały w straszliwym, konwulsyjnym śmiechu.

— He, he, he, panie kapitanie! Tak albo tak, ale z całej duszy, z całym rozmachem!...

Reitzenstein stał przy sterze milczący, trupio blady, z dziwnie poczerniałemi, głęboko zapadniętemi oczami.

W dziesięć minut później wzdłuż całego wybrzeża i telegrafem bez drutu na morze — leciała depesza:

„Statek rosyjski w labiryncie, zdąża na południe!“

W PUŁAPCE.

Ulice i bulwary Portu Artura wyglądały jak stara podmiejska kuźnica po jarmarku.

Na wpół rozwalone, świecące czerwonemi cegłami mury, osmolone kominy, kawałki żelaziwa, odłamki granatów, sterty śmiecia i gnoju, sterty ludzkiej i zwierzęcej mierzwy.

A nad tem wszystkiem nieustanny grzmot, nieustanny błysk i powolnie kołyszący się, dławiący, ciężki obłok czarnego dymu.

A pod tym dymem widma chińskie, słaniające się po zaułkach, jak zgłodniałe psy po ulicach Konstantynopola, widma przerażające ogromem swej ludzkiej niedoli, wygłodzone, wynędzniałe, brudne z brzuchami przyrośniętymi do grzbietów.

Przed przechodzącym, obrośniętym jak zwierzę, zasmolonym jak kominiarz oficerem artylerji, bije czołem o ziemię, podobny do papugi, bezzębny chińczyk, z krwawemi, zakaprawionemi oczyma.

— Panie generale! — chargocze łamaną moskiewszczyzną — okruszek chleba, mala, całkiem maleńki. Córkę przyprowadzę, kwiat, wonny kwiat migdału!...

Oficerowi błyskają z pod wąsa w lubieżnym uśmiechu wielkie, szerokie zęby czerkiesa.

— No, nie bresz, stary psie! Wczoraj córka, pozawczoraj córka, dzisiaj córka — ileż u ciebie tych córek!

— Córka na prochy Konfucyusza!

A jak nie córka, to kuzynka. Przecież to wszystko jedno!

— Dajmy na to, że wszystko jedno...

— To ja natychmiast, niech wasza oświeconość będzie spokojna. W zwykłem miejscu...

Stary podrywał się z miejsca, furgocząc jak nietoperz szczątkami szerokiego kaftana, i znikał w zaułku...

Po chwili zjawiał się przed wojskowymi barakami ze szkieletem, owiniętym z głową w brudne dziurawe płachty.

Wonny kwiat migdału!

Jeżeli szkielet miał jeszcze na sobie trochę jędrnego, okraszonego młodością ciała, wówczas zostawiał w koszarach cześć, przechodził przez batalion rąk, a za to otrzymywał ćwierć funta chleba.

Stary „ojciec“ czekał pod drzwiami i ciskał się jak sęp na swoją dobrze zasłużoną połowę.

W przeciwym razie, jeżeli „wonny kwiat migdału“ utracił już zapach młodości, jeżeli zamiast boskich kształtów dziewiczych wysterkały mu suche żebra z pod skóry, to dostawał w zęby, kolanem w plecy na drogę, i z trzaskiem padał ze schodów wprost w objęcia „ojca“, z sączącym się po brodzie strumykiem krwi.

Czasami kazano ofierze pić.

Zmaltretowana, na wpół żywa, spoglądające zalęknionym wzrokiem dzikiego zwierzątka, ulegała we wszystkiem, dla ocalenia tej iskierki życia, która tlała jeszcze w piersiach.

A potem, gdy blady świt zazierał już do spelunek nocnej rozpusty, gdy winne opary złączyły się w jeden konwulsyjny, oszalały splot z resztkami myśli rozhukanego ducha, wówczas mówiono jej niejednokrotnie:

— Po tym zaszczycie, jaki cię spotkał, nie przystoi ci wracać w śmierdzący gnój twoich parszywych współbraci!

I, jak ścięta na grzędzie kapusta, padała w proch młoda głowa, ziewając spazmatycznie, wywracając w orbitach krągłe, oszalałe białka.

Beznadzieja zradzała rozpacz, rozpacz zalewała mózgi obłędem...

Czasami dawały się słyszeć głosy buntu.

— Dlaczego się właściwie nie poddajemy, na co ten stary pies czeka jeszcze?

„Starym psem” nazywano pieszczotliwie istotnego obrońcę Portu Artura, generała Kondratienkę, podczas gdy nominalny komendant, generał Stessel, słynął pod ogólnym mianem „sobaki”.

Lecz »stary pies«, gładził się po śpiczastej łysej głowie z brózdami wyschniętych żył i uśmiechał się blademi, wązkimi wargami.

Ten stały, nie opuszczający go ani na chwilę uśmiech, zdawał się mieć dwojakie znaczenie.

Albo:

— Poczekajcie dzieci! Aby do generalnego szturmu, aby tylko do szturmu!

Na to w załodze odzywało się jak echo:

— Ba, jemu łatwiej, nażył się stary pies dosyć. Ale nam, nam młode życie za co tu zagubiać!

Albo też mógł ten uśmiech, przecinający jak nóż wązkie usta, tak samo oznaczać:

— Czuj duch, hołota, gęby na kłódkę i naprzód, lub pięć lutów ołowiu w mózg!

I na to gęby istotnie zamykały się na kłódkę, ręce chwytały karabiny i pracowały z rozpaczą o każdą piędź, o każdy włos co dnia wymykającej się z pod stóp ziemi.

Pewnego dnia starego komendanta powaliła na łoże febra.

Natychmiast zawezwał generała Focka i admirała Witthefta.

— Moi panowie! — powiedział — Umierać nie mam jeszcze ochoty. Ale djabeł nie śpi. Dlatego chcę wam zwierzyć jedną rzecz, tylko pod przysięgą, że w razie czego nie zrobicie z niej zbyt lekkomyślnego użytku.

Oficerowie podnieśli palce do góry.

— Tak. A teraz chodźcie ze mną.

Poprowadził ich do głównego arsenału na »Złotej górze«, na wybudowanie którego użyte zostały tylko ziemia i żelazo.

Po przebyciu trojga drzwi z kutej stali, zeszli do czarnej, ciasnej, celki piwniczej, w której stało tylko coś w rodzaju niewielkiej, równie żelaznej skrzyni.

Kondratienko zdjął wieko, ujrzeli przed sobą szereg białych guziczków, ułożonych na płycie w kształcie fortepianowej klawiatury.

Uśmiechnął się i zaczął przebierać palcami, jak przy graniu.

— Domyślacie się, panowie, co oznacza ten instrument?... Za pociśnięciem tego guziczka wylatuje w powietrze cały fort A. wraz z szańcami w promieniu jednego kilometra. Za pociśnieniem tego—fort B. Każdy guziczek reprezentuje tu jeden fort. A ten czarny w środku skupia w sobie wszystkie nici. Dość położyć na nim mały palec, a cały pas okalający miasto, pas na kilometr do dwóch szeroki, a na kilkadziesiąt długi, w okamgnieniu znajdzie się pod niebem.

Spojrzał po towarzyszach i znów się uśmiechnął swym dwuznacznym uśmiechem.

Ci stali oszołomieni, z odkrytemi głowami, jak przed wielkim, potężnym dziełem przemyślności i pracy ludzkiej.

— Pojmujecie teraz panowie, dlaczego blizka nadzieja szturmu mnie bynajmniej nie przeraża.

— Ależ dlaczego w takim razie...—zaczął Witth ft.

— Nie wysadzam w powietrze fortów już zdobytych?—chciałeś pan zapytać! Ażeby się nie zdradzić przez czasem. Te guziczki zachowuję na deser. Niech się usadowią w zdobytych fortach, niech ściągną tam działa, amunicję, ludzi, ludzi szczególniej jaknajwięcej. I dopiero, gdy według siebie będą już dostatecznie przygotowani — t-trach!!

Zaśmiał się suchym, bezdźwięcznym śmiechem.

— Trach!—powtórzył i przymrużył oczy, jakby wyobraźnią widział już to wszystko, co mogło wtedy nastąpić.

— Ale pojmujecie też, panowie, że uciec się do tego środka, to znaczy to samo, co pogrzebać twierdzę. Dlatego też należy być ostrożnym, bo kto wie, może środek ten okaże się całkiem niepotrzebnym, może wszystko ułoży się znacznie lepiej, niż to sobie wyobrażamy! Bóg jest wszechmocny i zwycięstwo w Jego jest rękach.

Przeżegnał się nabożnie, westchnął i przykrywszy starannie to bezsprzecznie najbardziej oryginalne na świecie pianino, poprowadził ich na górę.

Gdy wyszli już z podziemi, doleciały ich naraz odgłosy gorączkowej, silnie wzmożonej kanonady od strony morza.

Wittheft zaniepokoił się.

— Oho, czy nie pan Togo po kilkunastodniowym milczeniu!

W tej chwili wpadł z ulicy zziajany maryarz.

— Wraca »Porucznik Burjakow«, trzy torpedowce japońskie odcinają mu drogę!

Wittheft jednym skokiem wypadł za drzwi i kłusem pobiegł na morze.

Za nim podążył Fock i wreszcie trzęsący się Kondratienko.

Powrót »Burjakowa«, to odzyskanie bezpośredniego czucia ze światem zewnętrznym, to bezpośrednie i pewne informacje, co się na tym świecie dzieje, to prawie to samo, co struga świeżego powietrza po długim siedzeniu w zatęchłej piwnicy.

Było też po co nogi wyciągać!

To też cały granitowy bulwar, okalający wewnętrzny port roił się od marynarzy i żołnierzy załogi, począwszy od kaszewarów i skończywszy aż na jego oświeconości księciu Uchtomskim, każdy rad był —zdawało się—wyskoczyć przez rozgorączkowane oczy własnej skóry i frunąć na skrzydłach na spotkanie tego śmiałka, który przywoził zapewne — nie! —który musiał przywozić jakąś nadzieję, coś wogóle takiego, co mogło ducha skrzepić, jakiś jeden bodaj jaśniejszy promyczek.

I ten oto dobry zwiastun był blizkim zguby w oczach tych wszystkich, którym właśnie dobrą wieść przynosił, wił się jak piskorz, wymykając się osaczającej go przemożnej nieprzyjacielskiej sile.

Cały brzeg rozbrzmiewał okrzykami zaczęty, których na nieszczęście ścigany statek nie mógł nawet słyszeć i słonymi epitetami pod adresem forteczných kanonierów na zbyt powolne i aż nazbyt bezskuteczne pukanie na nieprzyjaciół z dział.

— Puszkary przeklęte!—wrzeszczał jakiś zaperzony piechur, wygrażając pięścią w kierunku umieszczonej na górującym nad okolicą skalnym cyplu dwunastocalówki, która tylko co właśnie bardzo głośno grzmotnęła i trafiła wprawdzie prosto w morze, ale daleko od zamierzonego celu.

— W tycieczki kawałeczek mięsa w zupie, to byś jucho odrazu jeden z drugim widelcem trafił, ale w tylachny okręt, to cię nie ma!

— Ba!—wtórował inny.—Jego rzecz, to byle se puknąć, a z daleka. Gdzie tam kula poleci, to już nie jego rzecz.

Tymczasem kanonierzy mieli istotnie niełatwe do spełnienia. Torpedowce japońskie tak szybko i zwinnie zmieniały co chwila kierunek, że wziąść je na cel było prawie niepodobieństwem, prócz tego rozmyślnie może starały się trzymać między wylotami dział fortecznych, a swoją upatrzoną zdobyczą. W ten sposób każdy wystrzał mógł się stać równie niebezpiecznym dla tego, kogo miał bronić, jak i dla tych, dla których był właściwie przeznaczony.

W pewnej chwili po całym brzegu rozległ się naraz jeden okrzyk zgrozy.

— Już! już! po nim!

Lecz nie! To tylko nieprzyjacielska torpeda wybuchnęła na kilkanaście metrów przed właściwym celem i przywaliła »Burjakowa« całą górą wody.

Za moment wychynął już znowu na widownię i błysnął na prześladowców ostrymi kłami strzałów.

Odgryzał się jeszcze jak lis osaczony przez psy gończe.

Tymczasem nadbiegł zadyszany Wittheft.

Ogarnął wzrokiem sytuację i po kamiennych schodkach zbiegł na pomost.

— Tylko trzy nieprzyjacielskie statki! Na Boga! na cóż tu czekać! Flotylla torpedowców natychmiast na pełne morze.

Dyżurny oficer marynarki, który pierwszy ze szczytu latarni morskiej dojrzał powracający statek i natychmiast posłał był do Witthefta, odsalutował:

— Wszystko nie trwa dłużej, jak od kilku minut.

— I jedna wystarczy na zatopienie, a to jest przecież „Burjakow"! Rozumiesz pan? „Burjakow" — który może zbawienie nam przywozi.

Już stawał nogą w łodzi, by podpłynąć do jednego ze statków i osobiście objąć dowództwo nad odsieczą, gdy naraz zaszła okoliczność, która na moment przykuła go do miejsca z jedną nogą na pomoście, a drugą w łodzi.

Pościg za „Burjakowem" odbywał się po prawej stronie zatoki, stanowiącej zewnętrzny basen portu. Lewa strona przed chwilą jeszcze była pusta i spokojna.

I raptem po tej lewej stronie zaczęła się gęsta gwałtowna kanonada.

Niemniej zaskoczone tą niepodzianką zdały się być i same ścigające torpedowce japońskie, które — rzec można—raptem jakby obejrzały się poza siebie, wstrzymały w locie.

Powstrzymanie to nie trwało dłużej, jak jedną chwilkę. Ale tej jednej chwilki wystarczyło »Burjakowowi« do prześlizgnięcia się między dwoma ziejącymi ogniem końcami okalającego go trójkąta.

Już teraz miał nieprzyjaciół poza sobą i na skrzydłach zdzierał w kierunku przesmyku, stanowiącego wejście do wewnętrznego basenu.

Wittheft tego wszystkiego już nie zauważył i co sił w nogach wspinał się z powrotem na wysoki brzeg, z którego otwierał się widok na całą zatokę.

Kondratienko z Fockiem byli już również na brzegu.

— To flota władywostocka! — gorączkował się Kondratienko.—Skrydłowa stać na to, ja go znam. Niema ani sekundy czasu do stracenia, każ pan wszystkim statkom wyruszyć!

W tej chwili na horyzoncie ukazał się mały, ciemny punkt, który rósł szybko, jak kłębek toczył się po falach. Za nim wyłoniły się niebawem ciemne plamy większych statków, rozbłyskujących co chwila zygzakami ognia.

Wittheft pochwycił lunetę:

Przez chwilę patrzał z natężeniem.

Z tyłu torpedowce japońskie!—rzekł wreszcie.— A z przodu...

Znów wytężył wzrok.

I raptem wykrzyknął głośno:

— „Sokół", jacht Skrydłowa! Znam ten statek.

— A więc sam Skrydłow!

Kondratienko pochwycił go za rękę.

— Panie, na Boga żywego, czegoż jeszcze czekać?!

Wittheft na mgnienie oka znów zagłębił się w lunecie.

Lecz w tej chwili nic nie widział i nic nie starał się widzieć przed sobą.

Lunetę przytknął sobie do oczów po to jedynie, aby zasłonić odblask tych uczuć, co jak huragan przelatywały mu przez duszę.

A od uczuć tych krwawo mu było w oczach i czoło orało mu się w posępne brózdy.

— Skrydłow!—myślał.—A więc skończyła się władza pana Witthefta. Teraz trzeba będzie znowu zejść do rzędu tych, którzy tyko milczeć i słuchać mają. Skończyło się... A jednak — gdyby tak tylko przez tę lunetę popatrzeć jeszcze z minutkę i potem znowu z minutkę!

W tej chwili cały brzeg, gęsto naszpikowany widzami, zakołysał się naraz od radosnych, okrzyków od braw i nawet pukania na wiwat.

»Burjakow« zasapany, z bokami poszarpanemi jak u wilka, który po śmiertelnych zapasach zdołał nareszcie wymknąć się zgrai ogarów, wjeżdżał właśnie z tryumfem do bezpiecznego schroniska wewnętrznego basenu portowego.

Od przystani odbijało już kilkadziesiąt drobnych łódek i biegło naprzeciw.

Wittheft trzasnął naraz lunetą o granitową posadzkę i nie zbiegł, ale formalnie sfrunął ze schodów.

— »Beztraszny«, »Rozumny«, »Nowik!«—krzyczał po drodze. — Całą parą!

I sam wskoczył do pierwszej z brzegu łodzi.

»Sokół« był już widny jak na dłoni.

Statki nieprzyjacielskie trzymały się za nim w równej odległości, gdyż dla uniknięcia prażących z tyłu strzałów, nie mógł on rozwinąć całej swej szybbości, nie biegł w prostej linji, lecz kluczył nieustannie po falach, jak szczwany szarak po zagonach.

Jeszcze minuta, dwie, i już miał się znaleść pod skrzydłami dalekosiężnych dział fortecznych, które naprzód już rozdziawiały potworne swe gardziele, by w stosownej chwili plunąć.

Jednocześnie w wylocie przesmyku ukazywał się już »Nowik« w asystencji lotnych torpedowców.

Na całym brzegu, po chwilowym wybuchu radości, zapanowało grobowe milczenie. Spojrzenia tysięcy par oczu ześrodkowały się jak magnes przyciągający na tym jednym ruchomym punkcie, tysiące serc jednym głuchem tętnem uderzały w piersiach.

I naraz »Sokół« zatrzepotał się niespokojnie w miejscu i zaczerpnął jednem bokiem wody.

Po całym brzegu przebiegło jedno podobne do stęknięcia:

— Ach!!

Pod »Nowikiem« i torpedowcami, które już wyszły na pełne morze, fala zakipiała jak wrzątek.

Aby jeszcze kilka chwil!

Wszyscy widzowie tego pasowania się ze śmiercią, biegli wzdłuż wybrzeża na lewo ku „Złotej Górze", ku której zmierzał widocznie uszkodzony statek.

Do przebycia pozostawało mu zaledwie jakieś parę kilometrów.

I naraz nowy okrzyk, ale tym razem okrzyk zgrozy, wydarł się że wszystkich piersi.

Owe trzy torpedowce japońskie, którym zdołał wymknąć się »Burjakow«, jakby dla zagładzenia swej niezręczności, dla zrehabilitowania się, z niesłychaną brawurą, pod deszczem sypiących się z fortów granatów, przeciały jak burza tuż prawie koło samego wybrzeża, otarłszy się prawie o kadłub »Nowika« i potraktowawszy go przy tej sposobności torpedowem cygarem, i ostatecznie a beznadziejnie zatarasowały drogę nieszczęsnemu »Sokołowi«.

Widać było, jak zrobił jeszcze ostatni wysiłek, jak pchnął się o kilkaset metrów ku brzegowi.

I huknął naraz strzał, strzał, który w nieustannym grzmocie wielu innych, odrazu jednak przez wszystkich został odczuty jak nagły ból serca, dokoła »Sokoła« wyskoczyła w górę piętrowa fala spienionej wody i przewaliła go.

Przez mgnienie oka widać było jeszcze dwie szybko odlatujące od siebie połowy, z których jedna uderzyła o skalne podnóże „Złotej Góry".

Tysiące gardzieli ludzkich wrzasnęło klątwą, tysiące gardzieli spiżowych żygnęło ogniem.

Japończycy zmykali, nie oglądając się.

KONTR-MINA.

— O panie, wspaniałością zaćmiewający blask słońca, racz z wysokości swego dostojeństwa plunąć na głowę najpodlejszego z rabów twoich. O nogo z kości słoniowej, racz otrząsnąć z siebie mnie — pył, racz wdeptać mnie w błoto uliczne przed uświęconym obecnością twoją domem twoim. Racz, panie, rozkazać sługom swoim, aby mnię — gnój – wyżenęli z progów twoich, bym snać śmierdzącym swym oddechem powietrza twego nie zakażał!

— O gwiazdo poranna złota, o bracie starszy srebrnego księżyca, racz zaćmić blaskiem swym brudy domu mojego, racz słońcem swojej mądrości rozświecić mroki mojej myśli, racz zażegnać bratnie płomienie w moich krecich oczać, bym patrzał na ciebie a nie oślep, by słowa twe, padające jak perły z wonnych ust, nie odbijały się bezpłodnem echem w pustce mojej głowy...

Przesławny, wielki, potężny inżynier chiński Ho i marszałek polny japoński Oyama stali naprzeciw siebie zgięci w pałąk, z opuszczonemi głowami, jak dwa barany, gotowe się trykać rogami i wymyślali, ale sobie samym, od ostatnich.

Tak wymagała etykieta.

Gdy wymaganiom stało się zadość, gdy pan Ho zdołał już zrównać się z najbardziej cuchnącem błotem, a pan Oyama wywyższył już gościa wyżej niż ponad słońce, obaj dygnitarze rozprostowali krzyże i usiedli.

Milczeli długo, wystrzegając się nawet ukradkowych spojrzeń, w niepłonnem przeświadczeniu, iż szczwany interlokutor w lot by takie spojrzenie pochwycił, a po jego błysku mógłby też zapewne wpaść na trop myśli, która się pod czaszką czaiła.

Wreszcie Ho odchrząknął i pociągnął zlekka długi warkocz, zwisający biczem z małej ptasiej głowy. Żółta, pomarszczona skóra ułożyła mu się dokoła wązkich ust w bezliczne koliste linie, mające w całości znamionować promienny uśmiech.

— Niebieskie Państwo cieszy się potężnem szczęściem Królestwa wschodzącego słońca — przemówił. — Nasi sąsiedzi najdrożsi są jako wicher pustynny, pod jego podmuchem szeregi wrogów rozlatują się jak nędzne kupy piasku. Miecze ich są jako błyskawice, ich działa są potężniejsze od piorunów, przed mocą ich nie ostoi się nic, nic...

Zamilkł na chwilę.

Oyama w namaszczeniu opuścił nizko na piersi swą byczą głowę, złote marszałkowskie buljony drgały mu zlekka na potężnych barach zawodowego atlety.

Korzystając z okazji Ho rzucił szybkie spojrzenie na tę pochyloną głowę i w małych jego oczach mignął lotny jak iskra stalowy błysk.

Suchemi palcami pochwycił koniec swego warkocza i wciągnąwszy go w szeroki rękaw, szczypał nerwowo.

Chrząknął znów.

— Chiny nie mogą nie sprzyjać Japonji, bo wszak wiadomo, że wy tylko w imię sprawiedliwości chciecie oczyścić naszą ziemię z najazdu czerwonych djabłów, i wiadomo, że całą tę ziemię wolną, nie plugawioną już więcej stopami barbarzyńców, bezpośrednio po zwycięskiej wojnie zwrócić nam chcecie.

W tym miejscu Oyama obejrzał się na swe ramię, strzepnął palcami jakiś pyłek i nadstawił w milczeniu ucho do dalszego słuchania.

Ho na chwilę wypuścił w jego kierunku błyskawicę z pod swoich przysłoniętych powiek.

— Żal nam tylko—zaczął znów po chwili, — że za naszą sprawę a wy wyłącznie krew lejecie. Bo dużo już tej cennej krwi waszej wyciekło i jeszcze jej dużo, dużo się przeleje. Już tylko na odebranie samego Portu Artura—jak myśli wódz niezwyciężony? Nie należy być zgóry przygotowanym na stratę jakich piętnastu, dwudziestu tysięcy ludzi? Tyle fortów, tyle nieprzewidzianych przeszkód, min ziemnych? Ja je widziałem, znam!

Oyama pokiwał głową w ten sposób, że nie można było wiedzieć, co właściwie o tym myśli, czy się zgadza, czy też może przeczy.

— Znam powtórzył z naciskiem chińczyk. — Jedno widziałem własnymi oczami, innego mogłem się domyśleć. I dzisiaj przez sen nawet mógłbym powiedzieć napewno, że tu jest mina, tam podkop. A prócz tego jeszcze jedno...

— Zamyślił się nachwilę.

Teraz znów Oyama rzucił na niego spojrzenie błyskawiczne, a przenikające na wylot.

Chińczyk potrząsnął głową.

— Tak, to ostatnie jest straszne! I na podstawie tego, co wiem, mogę stwierdzić, że moim zdaniem dwadzieścia tysięcy ofiar, to jest stanowczo za mało. Na to potrzeba sto, niech w najszczęśliwszym razie pięćdziesiąt. A na jedno to by wyniosło!... Na ile też przesławny wódz ocenia jedno życie żołniersie?

— Każdy żołnierz wart tyle, ile ma męstwa w piersiach!—odparł ostrożnie Oyama.

Ho zagryzł do krwi wązkie wargi.

Teraz Oyama spojrzał mu prosto w oczy.

— Gdzie kule gwiżdżą, tam i krew lać się musi. Na to byliśmy przygotowani. Ubolewać tylko należy, że tę krew potrzeba przelewać z istotnymi barbarzyńcami, którzy nie szanują ani praw ani osób, którzy największą nawet przysługę umieją wypłacać tylko czarną niewdzięcznością.

Zatrzymał się na chwilę i znów przeszył chińczyka przelękliwym spojrzeniem, poczem opuścił głowę. Rozumiał doskonale, o co panu Ho mogło chodzić, i próbował z początku rozgmerać mu wątrobę delikatnymi środkami.

Lecz chińczyk był twardy, ostrza obwinięte w bawełnę nie przenikały do jego nerwów.

Wtedy marszałek zdecydował się na bardziej radykalną operację.

— Bo dochodziły nas tu słuchy — mówił — i serca nasze oblewały się krwią. Wszak oni nawet was, dostojny panie, nie potrafią podobno uszanować wedle zasług! Was, coście im oddali na usługi całe swe niepospolite zdolności! Przesławnego inżyniera Ho, pana najdostojniejszego z najdostojniejszych, genialnego mędrca, u którego myśli układają się w głowie z doskonałą dokładnością gwiazd na niebie! Wyssali z was całą waszą wiedzę jak sok z wiśni, a potem od was, od sławnego po krańce świata inżyniera Ho, odwrócili się, jak od brudnej szmaty, jak obessaną pestkę wyrzucili was na śmiętnik obojętnej wzgardy. To jest istotnie po barbarzyńsku!

Skończył i uważnym wejrzeniem badał na twarzy Chińczyka działanie swej wymowy.

Działanie to było istotnie straszne.

Jego małe oczki wyrosły mu nagle z pod czoła do wielkości gołębich jaj, wyskakiwały formalnie z oczodołów w obramowaniu krwawych obrączek, jak u żmji, której nastąpiono podkowanym butem na ogon.

C. d. n.